

HERYTIERA

[PIZGACZ]



BURN the HELL

RUNDA CZWARTA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redaktor: Beata Stefaniak-Maślanka

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/bur4pr>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1082-9

Copyright © P.S. Herytiera 2023, 2024

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)



## ROZDZIAŁ 15.

# PRZEKŁĘTE ZROZUMIENIE

Często zastanawiałam się, ile jest w stanie wytrzymać jeden człowiek. Ludzkie ciało było, jest i będzie niesamowite. Opiera się torturom i cierpieniu, znosi ból. Jest zdolne do regeneracji. Przecież rany się zablizniają. Potrzeba jedynie czasu.

Właśnie, czas.

W pierwszej chwili można nie dostrzec w nim niczego nadzwyczajnego. Jedni mają go za mało, a inni wręcz przeciwnie. W dzisiejszym świecie wszyscy chyba jesteśmy bliżej tej pierwszej opcji. W końcu w ferworze pracy, roztargnieni, goniący za pieniądzem nie chcemy tracić ani nanosekundy czasu. A czas nam ucieka... sekundy przeradzają się w minuty, minuty w godziny, godziny w doby, a te w tygodnie, miesiące, lata... Nie dostrzegamy, jak życie przecieka nam przez palce. Czas jest absolutny. Tylko on się nie zmienia i płynie od zarania dziejów.

Ale w tamtym momencie czas nie płynął. On się dla mnie zatrzymał.

Wszystko się zacierało i zlewało w jeden rozmazany obraz, którego nie potrafiłam zinterpretować. Miałam wrażenie, że pochłania mnie wszechobecna ciemność. Widziałam ją. Widziałam, jak zbliża się niczym groźna bestia, szczerząc kły. Z pustymi, martwymi oczami. Była tylko ona, tylko ciemność. Wnikała we mnie, parząc moją skórę, a jej śmiech stawał się coraz głośniejszy. Wypalała mnie od środka, a ja nie potrafiłam nic z tym zrobić. Tonęłam w niej, grzęzłam. Nie wiedziałam, co się dzieje. Wciąż stałam w tym samym miejscu, zaciskając zdrętwiałe palce na krawędzi drzwi, i mimo że czułam, jakby upłynęło kilka godzin, w rzeczywistości były to jedynie sekundy. Nie oddychałam. Nie

poruszałam się. Nie mrugałam. Patrzyłam na blade ciało ułożone na metalowym stole w pustym pokoju. To było jak sen. Naprawdę myślałam, że to tylko mi się śni.

Ale wtedy uderzyła mnie rzeczywistość.

Przestałam egzystować. Nie potrafiłam się poruszyć. Byłam jak sparaliżowana. Nie czułam ani jednej kończyny. Nie docierało do mnie, że żyję. Świat zniknął, byliśmy tam tylko my. Ja i blade, nieporuszające się ciało na podłużnym metalowym stole.

A potem nagle wróciłam. Jakby ktoś włączył rzeczywistość. Znow widziałam salę szpitalną, ludzi wokół i uderzył we mnie ten okropny mdlący zapach. Poczulałam, jakby coś zmiażdżyło mi serce. Jakby wyrwano mi wnętrzności. Rozszerzyłam oczy. Trzęsłam się. Ciało mi drżało, a dusza razem z nim.

To się nie działo naprawdę. Nie było takiej możliwości.

Nie wiedziałam, jakim cudem zmusiłam swoje nogi do ruchu. Nawet tego nie zarejestrowałam. To działo się poza moją kontrolą. W sekundę dopadłam do tego cholernego stołu. Wszystko zaczęło wirować. To nie mogła być prawda. Nie. Nastął chaos, wszystko krzyczało. *To się nie dzieje. To sen. To koszmar. To majaki.*

Wypuściłam z ust powietrze. Czułam palenie w przełyku. Mrowienie pod moimi powiekami przerodziło się w pierwsze łzy, które napłynęły mi do oczu. Ale to nie było ważne. Nie interesowały mnie krzyki wokół, ledwo je słyszałam. Wydawało mi się, że ktoś oddzielił to wszystko ode mnie dźwiękoszczelną ścianą. Nic wokół nie miało znaczenia.

Powoli, jakby w transie, spozrzałam na nogi, posiniałe nogi, a następnie cał po cału przesuwając wzrokiem po nieruchomym ciełe. Po białym materiale, który okrywał je od połowy ud aż do obojczyków. Po ramionach, które dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Po opiekuńczych dłoniach. Po szyi. A potem popatrzyłam na twarz. Spokojną, bladą twarz. Na te zamknięte powieki. Na wielkie sińce pod oczami, siniaki i zadrapania. Na niemal granatowe wargi. Na poszarzałą skórę.

Otworzyłam szerzej oczy i usta. To się nie działo, to musiał być sen. Mój oddech z każdą sekundą przyspieszał. Słyszałam krew szumiącą mi w uszach oraz szybkie bicie swojego serca. *Nie, nie, nie.* Zaczęłam kręcić głową, czując pierwsze palące łzy na policzkach.

— Nie, to się nie dzieje — wyszeptałam drżącym głosem. To nie był mój głos. Brzmiał tak, jakby dobiegał z ust kogoś innego. Jakbym to nie ja mówiła. To nie byłam ja. — Nie, to nie jest prawda. Ty tylko śpisz. Obudź się — wyrzucałam z siebie nerwowo kolejne słowa. Znów przesunęłam wzrokiem po nieruchomym ciełe, coraz mocniej kręcąc głową. Wierzyłam w to. To był tylko sen. To się zaraz skończy. — To nie jest prawda. Obudź się! — warknęłam, a gorzkie łzy zalały moje policzki.

Z całej siły zacisnęłam szczękę, bez namysłu kładąc dłonie na tych ramionach, w których zawsze czułam się tak dobrze. Były zimne i szorstkie.

— Obudź się! Otwórz oczy! — zawołałam rozedrganym głosem, potrząsając jej ciałem.

Kiedy to nic nie dało, ponowiłam ruch, tylko mocniej. A potem jeszcze raz. Uparcie wpatrywałam się w znajome powieki, czekając, aż się poruszą.

*Przecież to zaraz się skończy. To tylko taki żart. Pewnie śpi. Zaraz wstanie.*

— Proszę, obudź się — wyszeptałam błagalnie, ściskając ją coraz słabiej.

Ale oczy pozostały zamknięte.

A potem przyszła kolejna sekunda. I w tej sekundzie dosłownie wszystko się zmieniło. Jedna cholerna sekunda, w której spłynęło na mnie zrozumienie. Przekłete zrozumienie.

Głośny, rozrywający serce wrzask wydostał się z moich ust, a wraz z nim próbowałam wyrzucić z siebie cały ból, jaki zawładnął moim ciałem. Zdzierałam gardło do krwi, ale to nie miało znaczenia. Nie czułam tego. Wciąż krzyczałam. Nieprzerwanie i bez wytchnienia, jakby od tego zależało moje życie. Krzyczałam tak, jak nikt nigdy wcześniej. Nic nie miało już przecież sensu. Nie potrafiłam racjonalnie myśleć. Mój krzyk mieszał się ze łzami i szlochem. Mieszał się z bólem. Z okropnym cierpieniem. Każda komórka mojego ciała wyła. Wszystko wyło. Ja wyłam. Zatracałam się w krzyku rozpacz i przerażenia, w którym był też milion innych emocji. W pewnej chwili wplątałam skostniałe palce we włosy i zaczęłam za nie z całych sił szarpać. Gdzieś z daleka słyszałam echo, jakby ktoś inny również krzyczał. Ktoś złapał mnie za ramię. Ktoś coś mówił. Ale wtedy znów byłam tylko ja i ciemność. Nie było nic więcej. Nie było już radości, szczęścia, miłości.

Nie widziałam niczego przez wypalające moją skórę łyzy. Szloch, wrzask, płacz, lament. W pewnej chwili to wszystko wyszło ze mnie jednocześnie.

*Niech ktoś to skończy. Niech to przestanie się dziać. Niech ktoś to wyłączy!*

Nigdy nie czułam czegoś podobnego. To już nie był ból psychiczny, który przechodził w coś więcej. To było coś innego. Mocniejszego. To było metafizyczne.

Nie miałam pojęcia, ile trwałam w takim stanie. W pewnym momencie ktoś znów złapał moje ramiona, chcąc pociągnąć mnie do tyłu, ale ja walczyłam.

Nie mogłam odejść. Nie mogłam przestać patrzeć. Nikt nie mógł mnie stamtąd zabrać. Nie mogłam na to pozwolić. Musiałam zostać i poczekać, aż to się skończy. Aż jej powieki znów się uniosą.

Głośno zaszlochałam, wrywając się. Wtedy ktoś mocno szarpnął mnie za łokieć, przez co gwałtownie się odwróciłam. Ledwo trzymając się na nogach, krzyknęłam głośno coś niezrozumiałego i zrobiłam zamach. Nadal nic nie widziałam. Wszystko wirowało. Ja wirowałam. Moja głowa i myśli w niej. Krzyczały, och, jak głośno krzyczały. Wyłam. Wyłam jak pies, krzyczałam jak szaleniec, wierzgałam jak dzikie zwierzę. Musiałam tam trwać.

Dłoń zaciskająca się na moim łokciu jeszcze wzmocniła swój chwyt, a następnie ktoś z dużą siłą pociągnął moją rękę. Z impetem wpadłam na czyjąś klatkę piersiową, a chwilę później dwie silne ręce zacisnęły się wokół mnie, mocno mnie obejmując.

Ale ja się nie poddałam. Wciąż się wrywałam mimo mocnego uścisku. Z całej siły uderzałam pięściami w czyjś twardy tors, pragnąc, aby ten ktoś mnie puścił i pozwolił mi tam wrócić.

Nie byłam jednak z ołowiu. Z każdym kolejnym uderzeniem i krzykiem traciłam coraz więcej energii. Nawet nie wiedziałam, w którym momencie zamiast wrywać się, po prostu odpuściłam, zatrzymując się i głośno płacząc.

Płakałam. Płakałam gorzko i rozpaczliwie. Silne ramiona obejmowały mnie jeszcze mocniej. Bez sił oparłam głowę o twardy tors, zamykając oczy i wypłakując w czarną bluzę cały żal, ból i przerażenie. Wypalało mnie od środka bez chwili przerwy. Głośno szlochałam, wyginając usta w grymasie bólu. Zacisnęłam skostniałe dłonie, które były uwięzione

pomiędzy mną a klatką piersiową obejmującego mnie chłopaka. Długie palce uspokajająco pocierały moje plecy, a jego uścisk wzmożnił się na tyle, że nikt nie wcisnąłby pomiędzy nas nawet szpilki. Znajomy zapach jednak wcale mnie nie uspokoił. Ukryłam zapłakaną twarz w drżących dłoniach, chcąc schować się w jego ramionach. Odciać się od całego świata. Zostać z bólem. Z mocą wciskałam się w jego tors, wyjąc i błagając w myślach, aby ktoś w końcu przerwał te męki.

Ale nikt ich nie przerwał, a ciemność mnie pożerała. Nie potrafiłam tego zatrzymać. Wydawało mi się, że utknęłam w wielkiej bańce, która z każdą chwilą zaciskała się wokół mnie coraz bardziej, odbierając mi zmysły. A ja krzyczałam, choć nikt nie słyszał. Nikt nie przyszedł mi na ratunek. Zostałam sama. Gotowa, by umrzeć, ale niegotowa na śmierć.

— Jestem tu. — Cichy, drżący szept dotarł do mojego ucha. Zaciśnęłam jeszcze mocniej powieki, kręcąc głową. — Jestem przy tobie.

— Wyprowadź ją z sali — odezwał się inny męski głos.

Nawet nie wiedziałam, czy go znam. To wszystko było jak sen. Istny koszmar.

Nie miałam siły się klócić, więc uległam i pozwoliłam wyprowadzić się z zimnego pokoju. Chłopak cały czas obejmował mnie ramieniem, a ja chowałam się w jego uścisku, ani na chwilę nie otwierając oczu. Mocno mnie trzymał i szedł za nas oboje, bo ja miałam nogi jak z waty. Niemal włókł mnie po białych szpitalnych płytkach, podtrzymując mnie i nie pozwalając, abym odsunęła się chociaż o cal. Ja już tylko płakałam. Nie mogłam nawet unieść powiek, nie mówiąc o poruszaniu nogami. Wreszcie się zatrzymaliśmy, a on poluźnił nieco uścisk. Jednak nie minęła sekunda, a jego druga ręka ponownie mnie objęła. Przyciągnął mnie do siebie i oparł brodę na mojej głowie. Cicho załkałam, wtulając się w jego ciepłą, pachnącą bluzę. Nie miałam siły, aby go objąć. Nie miałam siły nawet na krzyk. Chciałam jedynie płakać. I płakałam.

Kolejne minuty mijały i nic się nie zmieniało. Nie chciałam przyjąć tego do wiadomości. Wciąż wmawiałam sobie, że to tylko sen i zaraz się obudzę. Nie miałam już czym płakać, a nadal wstrząsał mną szloch. Nie umiałam się uspokoić. Wydawało mi się, że ktoś wyrwał mi serce.

Staliśmy pośrodku szpitalnego korytarza, gdzie przeżywałam swoją tragedię. On był obok, przytulając mnie cały czas. Nie odzywał się. Nie mówił kompletnie nic. Pozwolił mi płakać.

— Powiedz, że to nieprawda — wyszeptałam słabym, niemal niesłyszalnym głosem, który był przepełniony bólem. — Powiedz, że to się nie dzieje. To sen, prawda? To nie dzieje się naprawdę — powtarzałam raz po raz, chcąc przekonać samą siebie.

Nie odpowiedział.

W tamtym momencie moje życie po prostu się zawaliło. Tak szybko. Jak domek z kart. Jakby ktoś palcem trącił lekko jedną kartę, a reszta upadła sama. W jednej chwili runęło wszystko.

Wtedy na szpitalnym korytarzu znów rozległ się głośny wrzask. Niemal taki sam jak kilkanaście minut wcześniej. Rozrywający serce, przepełniony żalem i rozpaczą. Ale to nie ja krzyczałam. To był krzyk osoby, którą to zmiażdżyło tak samo jak mnie.

Powoli uniosłam powieki i zamrugałam, krzywiąc się przez ostre białe światło. Delikatnie odsunęłam się od twardego torsu podtrzymującego mnie chłopaka. Poczułam zawroty głowy, które niemal ścięły mnie z nóg. Czułam na sobie jego czujny wzrok. Kątem oka widziałam, że nie odwrócił oczu nawet na chwilę. Chyba chciał się upewnić, że nie upadnę na te cholerne płytki.

Odwrociłam głowę w stronę zamkniętych drzwi, zza których było słycać wrzaski. Słabym ruchem przetarłam mokre policzki. Nagle krzyki ustały. Urwały się w połowie i pozostała po nich głucha cisza. Bolesna głucha cisza. Nie minęła minuta, a drzwi otworzyły się po raz kolejny. W progu stanął mój rozdygotany brat z oczami wypełnionymi łzami, które cały czas spływały po jego zaczerwienionej twarzy. Pusty wzrok utkwiał we mnie, rozchylając lekko drżące wargi. Ledwo stał. Bez życia. Dokładnie tak jak ja. Załkałam cicho i bez zastanowienia rzuciłam się w jego stronę.

Czas płynął, a załamane rodzeństwo wtulało się w siebie, wypłakując swój ból. Bo tylko my potrafiliśmy go naprawdę zrozumieć.

— Co się stało? — zapytał szeptem, opierając czoło na moim ramieniu. Jego zachrypnięty, zapłakany głos jeszcze bardziej kaleczył moje pokiereszowane serce. Zacisnęłam mocniej dłonie, czując, że Theo drży. — Jak... jak, Victoria? Dlaczego?

— Nie wiem, ale to się nie dzieje naprawdę — odparłam jak w transie, pociągając nosem.

— Victoria...



— Nasza mama się zaraz obudzi, zobaczysz. Zaraz wszystko wróci do normy. Musimy chwilę poczekać. Mama zaraz otworzy oczy — szeptałam jak obłąkana, ale wierzyłam w to.

To przecież nie mogło być prawdą. To była nasza mama. Nasza uko-chana mama. Nasza jedyna mamusia. Słońce, które dawało mi ciepło i bezpieczeństwo. Kobieta, która nosiła mnie pod sercem dziewięć miesięcy. Moja ostoja. Moje życie. Mój świat. Jak mogłabym chociażby pomyśleć o tym, że jej nie ma? Nie, nie mogłabym, bo to wszystko miało się zaraz skończyć. Wszystko miało wrócić do normy. Musieliśmy tylko trochę poczekać.

— Victoria, ona nie...

— Victorio. Theo. — Smutny męski głos przerwał wypowiedź mojego brata.

Z trudem odsunęłam się od Theodora i popatrzyłam na ojca Mii, który w białym kitlu wpatrywał się w nas oczami pełnymi bólu i współczucia. Pociągnęłam nosem i znów przetarłam dłońmi policzki. Musiał to wytłumaczyć i potwierdzić, że wszystko będzie dobrze. Musiało być.

Oboje spojrzeliśmy na jego smutną twarz.

— Co z mamą? Co się dzieje? Wyjdzie z tego, prawda? — pytałam gorączkowo.

Musiał to potwierdzić. Tylko to się liczyło.

Edward Roberts ciężko westchnął, zaciskając usta w wąską linię.

— Co się stało? — zapytałam po raz kolejny.

— Wasza mama miała wypadek — odparł ciężkim głosem, patrząc to na mnie, to na mojego brata. — Pojechała na zakupy do centrum. Przechodziła przez przejście obok sklepu, kiedy w tłum wjechał pijany kierowca. Nie zdążyła odskoczyć. — Z każdym kolejnym słowem jego głos stawał się coraz bardziej zachrypnięty, a twarz miał coraz smutniejszą. — Oprócz niej są jeszcze trzy ofiary w stanie krytycznym. Joseline doznała wielu urazów wewnętrznych. Jedno z żeber przebiło płuco, poza tym miała silny krwotok i stłuczenie mózgu. Nie mogliśmy nic zrobić.

— Ale co z...

— Wasza mama nie żyje.

Odsunęłam się o krok, powoli mrugając. W tym samym czasie Theo z niedowierzaniem wypisanym na twarzy wplątał drżące dłonie we włosy, a potem kucnął i zamknął przekrwione oczy. Poczułam się, jakby ktoś

we mnie uderzył. A potem jeszcze raz i jeszcze. Pokręciłam głową, zaciśniętą szczęką. To nie miało prawa się dziać. Była za młoda. Za młoda.

— Bardzo mi przykro — szepnął mężczyzna, a następnie odszedł, aby ukryć zaczerwienione oczy.

Westchnęłam cicho, znów czując mrowienie pod powiekami. Powoli wtłaczałam w siebie duże ilości tlenu, chociaż i tak było mi za mało. Chciało mi się wymiotować, czułam żółć w gardle. Nie przyswajałam tego. Trwałam w dziwnym transie. Theo cicho przeklinał pod nosem, łkając, a ja po prostu stałam, pusto patrząc przed siebie.

*Wasza mama nie żyje. Wasza mama nie żyje. Wasza mama nie żyje.*

Obróciłam głowę, a mój wzrok padł na Nate'a, który ze zbolalym wyrazem twarzy popatrzył mi w oczy. Jego bluza nadal była mokra od moich łez. Wiedziałam, że chciał coś zrobić. Cokolwiek, bylebym poczuła się lepiej, ale pewnie zdawał sobie sprawę, że to na nic. Więc tylko stał niedaleko, obserwując mnie i pozwalając mi przyjąć to, czego nie chciałam zaakceptować. To nie było możliwe.

*Wasza mama nie żyje.*

— Vic, tak... cholernie mi przykro... — Nagle tuż przede mną wyrosła zapłakana Mia, która wciąż głośno szlochała. Bez zastanowienia przytuliła się do mnie, ale nie byłam w stanie jej objąć. Nie potrafiłam się poruszyć. — Mój ojciec dzwonił do waszego domu, ale nikt nie odbierał. Zadzwonił do mnie, bym cię tu ściągnęła. Długo nie odbierałaś. — Płakała, mocno mnie tuląc. — Zadzwoniłam też po twojego tatę i Theo.

— Tata tu jest? — wychrypiałam niemal niesłyszalnie, na co skinęła.

Odetchnęła cicho i odsunęła się, wpatrując się ze współczuciem w moją twarz. To współczucie było tak przejmujące, bo ona rozumiała. Ona również straciła mamę. Swoją i... moją. Przecież po śmierci cioci Amandy Joseline Clark była dla niej jak druga matka. *A teraz już jej nie ma?*

Mia odeszła o krok i wtedy zobaczyłam ojca. Gdzieś nieco dalej mięknął mi też Luke. Skupiłam się na tacie, który wychodził właśnie z sali, gdzie zakończyło się moje życie. Z opuchniętymi oczami i zmierzwiłymi włosami prezentował się jeszcze gorzej niż wcześniej, jakby widok mamy odebrał mu siły bardziej niż choroba. Nie odezwał się. Nic nie zrobił, po prostu mnie przytulił, a następnie się rozplakał. Płakał bezgłośnie i boleśnie, a jego ciałem targały silne spazmy. Z całej siły

obejmowałam go wciąż drżącymi ramionami, niewidzącymi oczami wpatrując się w jego szarą koszulę. Tego palącego uczucia, które mnie ogarnęło, nie dało się opisać. Aby je zrozumieć, trzeba było go doświadczyć. Nie życzyłam tego nawet najgorszemu wrogowi.

Nie miałam pojęcia, ile tak wszyscy staliśmy w kompletnej ciszy i bezruchu. W końcu usłyszeliśmy głośne kroki i nerwowy oddech. Westchnęłam cicho i zmusiłam się, by się odwrócić. Dostrzegłam zdenerwowanego Erika, który zatrzymał się tuż przy nas, rozbieganym wzrokiem taksując kolejno każde z nas. Nie miałam pojęcia, kto go ściągnął. Może ktoś ze szpitala? W pierwszej chwili odniosłam wrażenie, jakby chciał o coś zapytać. Upewnić się, że dostał prawdziwe informacje. Ale im dłużej się w nas wpatrywał, tym bardziej matowe i puste stawały się jego oczy. Gdyby ktoś zapytał mnie kiedyś, czy widziałam, jak z człowieka ucieka życie, odparłabym, że tak. Widziałam. Widziałam to u Erika Clintona.

— Nie — wychrypiął słabym głosem, spoglądając na mnie z przejmującą prośbą w oczach. — Błagam. Nie.

Zacisnęłam powieki, bo nie potrafiłam patrzeć na jego łyzy. Bezsilnie ukryłam twarz w zimnych dłoniach, a potem kucnęłam. Kolejna fala bólu prawie mnie rozłożyła.

To był ból, którego nie dało się uśmierzyć.

\*\*\*

— Kochanie, jedź już do domu. Musisz odpocząć — mruknął mój ojciec, spoglądając na mnie z góry.

Wzruszyłam ramionami.

— Zostanę — odparłam bez cienia emocji, wbijając wzrok w jakiś punkt naprzeciwko.

— Siedzisz tu od kilku godzin. — Westchnął ciężko, patrząc na mnie nieco ostrzej.

Nie odpowiedziałam.

Pociągnęłam nosem, jeszcze ciaśniej obejmując kolana. Wciąż czułam jego poważne spojrzenie, ale niezbyt się tym przejmowałam. Cóż, nie przejmowałam się niczym. Jak miałam się przejmować, skoro niczego już nie było? Tylko ciemność i wszechogarniająca pustka. Chyba pierwszy raz w życiu czułam się tak wyprana z emocji. *Martwa*. Wszystkie

przeprawy z Nate'em, z moimi przyjaciółmi, ze szkołą... to było niczym w porównaniu z tym, co przechodziłam wtedy. Nie potrafiłam przestać myśleć. Nie potrafiłam przestać się łudzić. Płakałam. Potem się wściekałam. Potem ponownie płakałam, a później przychodziła pustka.

I było tak od pieprzonych pięciu godzin. Nadal nie dowierzałam, ale nie mogłam opuścić szpitala. Tam odeszła moja mama. Moja ukochana mamusia. Musiałam tam trwać, tak jak ona trwała przy mnie. W każdej chwili coś mogło się zmienić. Może jeszcze... może jeszcze była nadzieja.

Głęboko w środku wiedziałam, że to niemożliwe.

— Słońce. — Ojciec westchnął, kucając tuż przy mnie. — Musisz się położyć. Siedzenie tutaj nic ci nie da.

Zadarłam głowę, spoglądając zmęczonym wzrokiem w jego smutne, zaczerwienione oczy. Wygodniej oparłam się o ścianę przy drzwiach sali, gdzie moje życie się rozpadło. Ciało mamy już zabrano, ale ja nie potrafiłam stamtąd odejść. Czułam, jakby ona wciąż tam była. Nie mogłam dać jej zniknąć. Musiałam tam być.

— Więc dlaczego ty tu siedzisz? — zapytałam wypranym z emocji głosem, nawiązując z nim kontakt wzrokowy.

Ojciec westchnął, przejeżdżając dłońmi po włosach. Bez emocji obserwowałam jego wystające kości policzkowe i lekko posiwiały zarost, który dodawał mu lat.

— Muszę jeszcze porozmawiać z kolegami z pracy, którzy prowadzą tę sprawę — odparł. — I pozalutwiał formalności.

— Nie wyjdę stąd — oświadczyłam.

— Vic, musisz odpocząć. Nie jadłaś i nie spałaś od wielu godzin — nalegał. — Zaraz i ja pojadę. Wszyscy musimy odpocząć i zregenerować siły. Następne dni będą bardzo trudne, Victorio. Trzeba zorganizować... — urwał, przelękając się. — Będzie trzeba się wszystkim zająć. Mia ze swoim chłopakiem pojechali już godzinę temu. Theo zabrał się z Erikiem. Kochanie, ty też powinnaś już jechać. Zadzwońię po taksówkę.

— Tato, nie chcę jej zostawiać — szepnęłam zdławionym głosem i zacisnęłam szczękę, bo znów zebrało mi się na płacz.

Bolało. Mimo mijających sekund, minut, godzin wciąż tak samo. O ile nie mocniej.

Ojciec skinął głową, a w jego zielonych oczach znów zobaczyłam zmęczenie i bezbrzeżny smutek.

— Wiem, ale nie możesz siedzieć tu w nieskończoność. Musisz być silna.

Spojrzałam na niego niechętnie, ale wiedziałam, że ma rację, dlatego już nie protestowałam. Pozwoliłam, by mnie podniósł, bo sama nie byłam w stanie wstać. Było mi niedobrze i kręciło mi się w głowie, przez co nie mogłam złapać równowagi. Zacisnęłam powieki, kiedy tato mocno mnie przytulił, po czym odsunął się, chowając twarz w drżących dłoniach.

Tamten dzień zmienił nas nieodwracalnie.

Znów miałam ochotę wyć, bo nie miałam siły na oddychanie, mrużenie, egzystowanie. Jeszcze nigdy tak bardzo nie czułam, że życie straciło sens. Wtedy dosłownie nie chciałam żyć, skoro jej już nie było. Nie obchodziło mnie nic, ponieważ straciłam osobę, która znaczyła dla mnie wszystko.

— Zadzwońię po taksówkę — mruknął tato, obejmując mnie ramieniem. — Albo może lepiej poproszę kogoś z moich kolegów z komisarjatu, aby cię odwiózł. Ja jeszcze nie mogę stąd wyjść. Nie puszcze cię samej...

— Ja ją odwiozę.

Zamrugałam, słysząc niski głos za nami. Razem z tatą odwróciliśmy się w tamtą stronę. W odległości kilku jardów od nas stał Nate. Zdziwiłam się, bo wydawało mi się, że zniknął jeszcze przed przyjściem Erika. Nie do końca to zarejestrowałam. W lekkim szoku popatrzyłam na niego i nasze spojrzenia się spotkały. Widok jego czarnych oczu sprawił, że znów poczułam ból, bo widziałam w nich zrozumienie, jak u Mii. To było takie okropne. Ta pustka, ta nicość, ten ból i wspomnienia. I świadomość, że jej już z nami nie ma.

Nate wpatrywał się we mnie z uwagą. Dopiero po chwili zrobił kilka kroków w naszą stronę, a jego wzrok spoczął na moim ojcu. Wyraz jego twarzy się zmienił.

Wtedy dotarło do mnie, co się dzieje. Odkąd mój ojciec wrócił, Nate ani razu się z nim nie spotkał. Nienawidził go. Nienawidził go całym sercem i miał do tego prawo. W końcu to przez mojego tatę sprawca wypadku, w którym zginęła Gabrielle, nie został ukarany.

Kątem oka spojrzałam na ojca, który również zacisnął szczękę, zerkając to na mnie, to na Sheya, ale nie zrobił nic więcej. Dobrze wiedział, kim jest Nate i co sam zrobił. *Mama...* mama pewnie powiedziała mu, że

coś jest między mną a Nathanielem. Ja nie rozmawiałam z nim o tym ani razu. Nie wiedziałam, jaki ma do tego stosunek, i nie chciałam wiedzieć. Było mi wszystko jedno. Zapraǳęłam wrócić do domu.

Całe szczęście, że chyba obydwaj to rozumieli.

— Odwiozę ją — powtórzył cicho Nate i wiedziałam, że trudno było mu się opanować. Widok mojego ojca z pewnością obudził w nim coś, o czym bałam się nawet pomyśleć. Odetchnął cicho, przenosząc spojrzenie na mnie.

Przełknęłam ślinę. Gdybym była w stanie, uśmiechnęłabym się. Uniosłabym chociaż kącik ust. Ale nie potrafiłam.

Ojciec westchnął, jeszcze mocniej mnie obejmując.

— Na pewno? — zapytał, taksując go nieprzychylnym wzrokiem. Był spięty. — Pojedziesz z nim? — Tym razem pytanie skierował do mnie.

Skinęłam tylko głową, spuszcżając oczy na tors Nate'a, w który się wcześniej wyplakiwałam. Niesamowite. To było tak odległe. Wydawało mi się, że od tamtego momentu minęły miesiące, a było to zaledwie kilka godzin. Czas przestał mieć znaczenie, zacierał się. Czułam na sobie wzrok zarówno Sheya, jak i mojego ojca, co nie było ani trochę komfortowe. Na szczęście żaden z nich nic nie mówił.

Chciałam do domu. Chciałam do miejsca, gdzie pachniało mamą. Chciałam do mamy.

— W takim razie w porządku. — Odchrząknął tata, po czym ostatni raz mocno mnie przytulił i rzucił Nate'owi groźne spojrzenie.

Chłopak się pod nim nie ugiął. Nawiązali kontakt wzrokowy, a niewidzialne brzytwy z prędkością światła przelatywały pomiędzy nimi. Ale w oczach mojego ojca było coś jeszcze. Coś, czego nie potrafiłam do końca określić.

— Zadbaj o moją córkę — mruknął cicho. Znów odkasznął, odwracając się w moją stronę i posyłając mi uśmiech. — Odwieź ją do domu.

Po tych słowach pożegnał się i przeszedł korytarzem w głąb szpitala, a my zostaliśmy sami. Czułam, jak ciało Nate'a rozluźnia się, ale nie na tyle, na ile bym chciała. Chłopak zacisnął mocniej szczękę i cicho westchnął, po czym popatrzył na moją zmęczoną twarz. Przez krótką chwilę trwaliśmy w ciszy, aż w końcu poczułam, że muszę to przerwać.

— Czekałeś tu na mnie? — zapytałam, na co skinął głową. — Ale przecież zniknąłeś kilka godzin temu.

— Cały czas czekałem.

Spuściłam wzrok, czując dziwne ciepło w środku. Nie mogło zastąpić mroku i uczucia pustki, jakie we mnie siedziały, ale na ułamek sekundy zrobiło mi się dzięki temu odrobinę lepiej.

— Chodź — powiedział miękko Nate. — Zabiorę cię do domu.

Kiwnęłam głową, w duchu dziękując mu za to, że to zaproponował. Nathaniel odwrócił się w stronę drzwi wyjściowych i w pierwszej chwili miałam zrobić to samo, jednak coś mnie zatrzymało. Zmarszczyłam brwi i popatrzyłam w kierunku sali, gdzie wcześniej leżała mama. Zaciśnęłam powieki, czując klucie w klatce piersiowej. Spojrzałam w miejsce, gdzie ostatni raz widziałam to metalowe łóżko, na którym wywieźli jej ciało. Wciąż nie do końca to przyswoiłam. W mojej głowie nadal była mama. Moja piękna mama. Jej uśmiech, dotyk i aura bezpieczeństwa, jaką roztaczała wokół siebie. Moja kochana mama.

— Kocham cię — wyszeptałam niemal niesłyszalnie w pustą przestrzeń przed sobą, przymykając powieki. Jedna samotna łza wydostała się z kącika mojego oka i powoli spłynęła mi po policzku. — Wszystko będzie dobrze. Wszystko się ułoży. Obiecuję.

Otworzyłam oczy i szybko się odwróciłam, wycierając dłońmi policzki. Ruszyłam w stronę drzwi, wymijając po drodze patrzącego na mnie Nate'a. Nawet nie zastanawiałam się, gdzie idę. Po prostu przemierzałam kolejne jardy, pragnąc wyjść na świeże powietrze. Noga za nogą. Krok za krokiem. Łzy zamazywały mi obraz. Już nie wyłam, ta faza minęła. Po prostu szłam i płakałam, nie wydając z siebie żadnych dźwięków. Obijałam się o innych ludzi, nie słysząc ich komentarzy. Czułam na sobie współczujące spojrzenia pielęgniarek, ale nie potrafiłam zareagować. Nic nie mogło stłumić bólu, jaki we mnie siedział. Po tym, jak kolejny raz zderzyłam się z jakąś panią, Nate znalazł się tuż przy mnie i delikatnie odciągnął mnie na bok.

— Przepraszam — szepnęłam. — Nie mogę...

— Nic się nie stało — odparł miękkim głosem, którego nie słyszało się u niego zbyt często. To był bardzo przyjemny głos. Cichy i spokojny, jakby rozmawiał z małym dzieckiem. — Chodź, pomogę ci.

Bardzo delikatnie, jakbym była cennym wazonem z najcieńszego szkła, który może pęknąć pod najlżejszym dotykiem, objął mnie w talii. Przycisnął mnie do swojego boku, kładąc drugą dłoń na moim ramieniu.

Przytuliłam głowę do jego czarnej bluzy, a z oczu dalej płynęły mi łzy. Nie miałam siły. Był taki ciepły, a jego zapach dał mi namiastkę poczucia bezpieczeństwa. Zacisnęłam powieki, całkowicie poddając się jego ruchom. Z ufnością pozwoliłam mu doprowadzić się do wyjścia. Nie odezwał się ani słowem. Po prostu szedł za nas oboje. Palcami leciutko gładził moją rękę i to trochę mnie uspokajało.

Dopiero po kilkunastu sekundach zorientowałam się, że staliśmy już na parkingu. Patrzyłam na wschodzące słońce. Nastał kolejny dzień — w końcu było już przed szóstą. Kolejny raz słońce budziło się, aby oświetlić swoimi promieniami Culver City. Ale to nie miało znaczenia. Przetarłam zimną dłońią mokry policzek, rozglądając się dookoła. Od razu zauważyłam swój samochód, ale wiedziałam, że nie dam rady go poprowadzić.

— Chodź — szepnął cicho Nate tuż nad moją głową. — Pojedziemy moim autem.

Zmęczona znów wcisnęłam głowę w jego tors, zanurzając nos w ciepłej bluzie. Zaciągnęłam się jego zapachem, ponownie zamykając oczy. Nie protestowałam, bo było mi wszystko jedno, czym pojedziemy. Prawdę mówiąc, pojechałabym chyba z każdym, ale tylko z nim czułam się bezpiecznie. Kiedy ona... kiedy jej już nie było, tylko on był moją ostoją.

Podeszliśmy do czerwonego mustanga, a chłopak wypuścił mnie z objęć. Znów poczułam wszechogarniające zimno. Chciałam tego ciepła, które biło tylko od niego. Nate podszedł do drzwi pasażera i otworzył je. Powlokłam się za nim i niezgrabnie wsiadłam. Już miał za mną zamknąć, ale kiedy zobaczył, jak w bezruchu gapię się przez przednią szybę, cicho westchnął. Zmarszczyłam brew, gdy nachylił się nade mną, podpierając się jedną dłońią o fotel. Dopiero po kilku sekundach zrozumiałam, że zapina mi pas. Spojrzałam na jego profil, kiedy to robił. Byłam mu tak bezgranicznie wdzięczna.

Nate, czując mój wzrok na swojej twarzy, popatrzył na mnie kątem oka. Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały. W jego oczach dostrzegłam coś dziwnego. Chyba to sobie uświadomił, bo szybko odwrócił głowę, wyprostował się i zamknął drzwi od mojej strony. A ja już nie czułam tego ciepła, zapachu i jego obecności. Znów pochłaniała mnie pustka.

Nathaniel zajął miejsce kierowcy i odpalił silnik, nawet na mnie nie zerknąwszy. Nie przeszkadzało mi to. Wgapiałam się w przednią szybę,



znów zatracając się we własnych myślach. Podczas jazdy milczeliśmy. Nie grało radio. Panowała cisza, jakby wszystko pograżyło się w żalobie. Nie patrzyłam na Sheya. Całą drogę od szpitala do domu przesiedziałam w tej samej pozycji ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie. Dopiero głośne odchrząknięcie chłopaka sprawiło, że wyrwałam się z letargu. Wyrzalam przez boczną szybę i spojrzałam na swój dom. Dom, w którym zawsze była mama. Mój rodzinny dom.

— Jak znalazłeś się w szpitalu? — zapytałam w końcu.

— Luke do mnie zadzwonił. Był w szoku.

— Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłeś.

Skinął głową i znów zapadła między nami ta pełna napięcia cisza. Bałam się. Bałam się wejść do własnego domu, ponieważ wiedziałam, że wszystko tam będzie mi się kojarzyło z *nią*. Sama świadomość tego spowodowała, że poczułam pieczenie pod powiekami. Zamknęłam oczy, robiąc kilka uspokajających wdechów, które jednak zdały się na nic. Czułam wzrok Nathaniela na swojej twarzy, ale nie chciałam na niego patrzeć. To rozbiłoby mnie jeszcze bardziej. Kiedy minęła kolejna minuta, a ja dalej nie umiałam nic zrobić, usłyszałam otwieranie drzwi. To zmusiło mnie do spojrzenia na Nate'a, który wysiadł z mustanga i zatrzasnął za sobą drzwi. Śledziłam jego ruchy, kiedy okrążał samochód, by znaleźć się tuż przy drzwiach z mojej strony. Otworzył je, a później bez zbędnych słów ponownie się nade mną nachylił. Odpiął pas, który jeszcze kilkanaście minut wcześniej sam mi zapiął, po czym ułożył jedną dłoń na moich plecach, a drugą pod moimi kolanami. Sprawnie mnie podniósł, a następnie ostrożnie wyciągnął z auta, uważając, żebym się nie uderzyła. Nie miałam siły nawet go objąć. Nate przycisnął mnie do siebie i nogą zamknął drzwi. Odetchnęłam cicho, wtulając się w jego tors i wdychając jego kojący zapach. Przeszedł ze mną na rękach do drzwi i ostrożnie je otworzył. Nie były zamknięte na klucz, co mnie nie zdziwiło. W ferworze tego wszystkiego ktoś zapomniał je zamknąć.

Kiedy przekroczyliśmy próg mojego domu, zacisnęłam z całej siły powieki, chowając się jeszcze bardziej w jego ramionach. Zapach tego miejsca wywołał bolesny ucisk w moim wnętrzu, a w gardle poczułam wielką gulę. Co ja sobie myślałam? Że jeśli nie będę patrzeć, to wszystko stanie się choć odrobinę mniej bolesne? Oczywiście, że tak nie było. Z każdym kolejnym krokiem Nate'a robiło mi się coraz bardziej

niedobrze. Piszczalo mi w uszach. Znów zrobiłam parę uspokajających wdechów, starając się skupić się na swoim szybko bijącym sercu. Skrzygnięcie uświadomiło mnie, że wchodzimy po schodach. Kierowana dziwnym impulsem zacisnęłam palce na sznurku od kaptura bluzy Nate'a. Wbijałam paznokcie w dłonie.

Wszystko w domu pachniało nią. Tak pachniał dom. Tak pachniała ona. Naprawdę chciałam, aby ktoś to skończył i zabrał mnie do mamy. Do mojej mamy.

Znów usłyszałam skrzygnięcie, a kilka sekund później Nate posadził mnie na materacu. Powoli otworzyłam oczy i rozejrzałam się po swoim pokoju. Promienie słoneczne wpadały przez okno, tworząc żółte smugi na ścianach i podłodze. Przypatrywałam się oświetlonym drobinkom kurzu poruszającym się powoli w powietrzu. Pociągnęłam nosem, podkulając nogi pod brodę.

Nate westchnął i po zastanowieniu usiadł obok mnie, ale nie tak blisko, jak bym chciała. Wpatrywałam się w jego profil. Intensywnie nad czymś myślał. W końcu skinął głową, nawiązując ze mną kontakt wzrokowy.

— Chciałbym powiedzieć, że doskonale wiem, co czujesz, ale wiem tylko w połowie — powiedział cicho.

Był spięty. Wpatrywał się w swoje dłonie i strzelał palcami. Zaciskał nerwowo zęby, przez co jego ostre rysy twarzy uwydatniły się jeszcze bardziej. Wyglądał poważniej. I jeszcze zimniej, ale mimo wszystko jego głos nadal był miękki. Specjalnie dla mnie, chociaż widziałam, ile go to kosztuje.

— Wiem, jak to jest stracić matkę, ale nie wiem, jakie to uczucie, gdy traci się ją tak nagle. — Westchnął, odchylając głowę, a jego wzrok zatrzymał się na białym suficie. Przełknął ślinę, a jego jabłko Adama drgnęło. Przyglądałam się jego idealnej twarzy, podczas gdy on walczył sam ze sobą. Walczył dla mnie. — Moja była chora. Mimo że nie dopuszczałam do siebie myśli, że umrze, podświadomie zdawałam sobie sprawę z takiej możliwości. Miałem czas, żeby się z tym oswoić. Ty nie.

— Oboje się nie pożegnaliśmy — szepnęłam drżącym głosem, zaciskając zimne palce na włosach. — A ja nadal w to nie wierzę — dodałam zachrypniętym głosem, kręcąc głową. Wbiłam wzrok w ścianę tuż obok drzwi. — Wydaje mi się, że gdzieś wyjechała i jutro wróci. Jak zwykle robi mi śniadanie, porządzi i każe posprzątać. To boli jak cholera, więc

chyba naprawdę się stało, ale nie potrafię tego przyjąć. Ona była zawsze. Nie umiem wziąć pod uwagę opcji, że jej już nie będzie. Czuję się tak, jakby to wszystko mi się śniło. Jakbym trwała w jakimś koszmarze na jawie. Tak bardzo chcę, by to okazało się tylko złym snem. Moja mama musi żyć. Musi być ze mną. — Ostatnie zdanie wychrypiałam niemal bezgłośnie.

Skinął głową, ale nie odpowiedział. Znowu pograżyliśmy się w milczeniu. Trudno było mi poruszać powiekami. Trudno było mi zmusić płuca do pracy. Trudno było mi zrobić cokolwiek.

— Najgorsze jest to, że było tak jak zawsze — zaczęłam, czując na swojej twarzy jego spojrzenie. — Pożegnałam się, bo wychodziłam z domu. Kazała mi wcześniej wrócić i jechać bezpiecznie. Powiedziała, że mnie kocha. Było tak jak zawsze. Miałam wrócić do naszego domu, gdzie zawsze na mnie czekała — szeptałam z bólem, a moje oczy znowu wypełniły się łzami. Ze zdławionym oddechem popatrzyłam w zimne oczy Nate'a. — Jak mam teraz zasnąć ze świadomością, że jej tu nie ma? I że już nigdy jej nie będzie?

— Victoria, nie będę kłamał, że wszystko będzie okej — zaczął cicho. — Bo nie będzie. Będzie bolało jeszcze bardziej, niż boli teraz. Dziś jesteś otumaniona. Jutro dotrze do ciebie, co się stało. Ale powiem ci to, co ty powiedziałaś mnie, kiedy tamtej nocy po śmierci mojej matki wyłem jak małe dziecko. — Położył jedną dłoń na materacu pomiędzy nami i nachylił się w moją stronę. — Masz dla kogo walczyć, Victoria. Masz brata, przyjaciół, ojca...

— Jego też stracę! — przerwałam mu, a kilka łez spłynęło po mojej twarzy. Szybko uniosłam oczy ku górze, wycierając policzki drżącymi dłońmi. — O to właśnie chodzi, Nate. Tracę ludzi! I nie mogę tego zatrzymać!

— Co? — zapytał zdezorientowany.

Czułam jego spojrzenie na swojej twarzy. Wciąż wbiiałam wzrok w biały sufit i dopiero po chwili zorientowałam się, że Nate nie wie o chorobie mojego ojca. Nie powiedziałam mu. Wiedzieli tylko Chris i Mia.

— Mój ojciec jest chory, Nate. Ma raka.

Kiedy wypowiedziałam te słowa na głos, to wszystko zablokowało mnie jeszcze bardziej. To było tak bardzo beznadziejne. Traciłam tych, którzy byli mi bliscy.

— A to znaczy, że i on... on też odejdzie. Zostały mu tygodnie, może miesiące. Jego też stracę, tak jak straciłam ją — wydusiłam z siebie, ponownie zaciskając powieki i tym razem nie hamując łez.

Oparłam łokcie na zgiętych kolanach, chwytając się za głowę. Pociągnęłam za włosy, pragnąc wykrzyknąć to wszystko, co we mnie siedziało, ale nie miałam na to siły. Ciemność wygrywała.

Nagle poczułam zimne palce na swoich dłoniach. Nate delikatnie odciągnął moje ręce, ale nie otworzyłam oczu. Odetchnęłam cicho, krzyżując nogi i siadając po turecku. Czułam jego bliskość i ciepły oddech na swojej twarzy. Gęsia skórka pojawiła się na moich ramionach, a potem przeszła na resztę ciała. Uparcie zaciskałam powieki, choć nie wiedziałam dlaczego. Bałam się? Nie byłam gotowa? A może nie chciałam patrzeć w twarz osoby, którą też mogłam stracić? Pociągnęłam nosem, czując dwie kolejne łzy wypływające mi spod zamkniętej powieki. Byłam słaba, życie mnie pokonało. *Wygrało, a ja przestałam walczyć.*

Wtedy poczułam dłoń Nate'a na swojej twarzy. Jego zimne palce dotknęły mojej skroni, a następnie zaczęły powoli zjeżdżać po moim policzku. Jego dotyk był jak muskanie skrzydeł motyla. Gładził moją skórę lekko i delikatnie, jak gdyby dotykał płótna drogocennego obrazu. Czułam, jak nachyla się w moją stronę. Zacisnęłam mocniej powieki, kiedy mrowienie pod nimi jeszcze się wzmocniło. Przygryzłam wargę do krwi. Poczułam metaliczny posmak, a kolejne łzy spłynęły po mojej twarzy.

— Nie mam już siły, Nate — szepnęłam łamiącym się głosem, delikatnie kręcąc głową. — Wszystko stracę.

Nate westchnął ciężko po moich słowach i oparł czoło o moje. Nasze twarze dzielił cal. Dotykał mojej zuchwy, kreśląc kciukiem wzory na moim mokrym policzku. Czułam jego ciężki oddech na swojej twarzy, kiedy siedzieliśmy naprzeciw siebie. Uniosłam dłoń i dotknęłam jego dłoni. Westchnęłam cicho.

— Wszyscy moi bliscy cierpią — wychrypiałam. — A ja nie umiem tego zatrzymać.

— Rozumiem cię aż...

— Nie, Nate — przerwałam mu cicho, ale z dziwną mocą, której nie czułam w sobie. Z trudem uniosłam powieki. Zobaczyłam przed sobą jego błyszczące czarne oczy wpatrujące się we mnie. Widziałam w nich przerażającą pustkę. Pokręciłam głową, mocniej zaciskając palce na

jego dłoni. — Ty starasz się wszystkich chronić. Chronisz siebie i swoich bliskich. Swoją rodzinę. I robisz to najlepiej, jak potrafisz. Ja nie umiem. Jestem zbyt słaba.

— Victoria, prawda jest taka, że jesteś silniejsza niż my wszyscy razem wzięci — odparł, a w jego głosie słyszałam szczerłość.

Nie wierzyłam w to. Nie byłam silna.

— Wytrzymasz wszystko.

— Tego bólu nie da się znieść. Przynajmniej ja nie potrafię. Nie umiem sobie wyobrazić życia bez niej. Nie potrafię nawet o tym pomyśleć. Ty nie wiesz, co teraz dzieje się w mojej głowie. — Znów zamknęłam oczy, a gula w gardle sprawiła, że ledwo dokończyłam: — Ja tylko chcę ją z powrotem...

Rozpadłam się, a mój głos się załamał. Nate, widząc to, przyciągnął mnie do siebie i położył dłoń na mojej głowie. Ponownie tamtego dnia rozplakałam się gorzko i głośno, wciskając twarz w zagłębienie jego szyi. A on mi na to pozwolił. Być może robił to, aby odwdzińczyć mi się za to, że i ja byłam przy nim, gdy zmarła jego matka. Albo po prostu czuł, że tak wypada. Nie obchodziły mnie przyczyny. Najważniejsze było to, że dawał mi swoją bliskość wtedy, gdy jej potrzebowałam. Tylko to mogło mnie uspokoić.

Z całej siły zaciskałam palce na jego bluzie, kiedy obejmował mnie swoimi silnymi ramionami, nie mówiąc kompletnie nic. W pokoju było słychać jedynie mój cichy szloch i pociąganie nosem. Byłam zmęczona. Nie analizowałam tego, co robiłam ani co mówiłam. Chciałam się położyć. Chciałam przytulić się do mamy i zapomnieć. Oderwać się od życia. Po kilkunastu dołujących minutach milczenia w końcu jakoś się uspokoiłam. Nie odsunęłam się ani o cal i Nate też tego nie zrobił. Powoli przeplatał moje splątane włosy pomiędzy swoimi długimi palcami, co w dziwny sposób mnie koilo.

Wtedy z dołu dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. To musiał być Theo albo tata.

Nate cicho westchnął, przyciskając policzek do czubka mojej głowy.

— Chciałbym z tobą zostać.

Gdybym w tamtym momencie mogła się uśmiechnąć, na pewno bym to zrobiła, ale byłam zbyt zmęczona. Jeszcze mocniej przyłgnęłam do jego ciała, czując dziwny ucisk w okolicy serca. Przymknęłam lekko powieki.

Nie mogłam na niego patrzeć. Wiedziałam, że jeśli to zrobię, rozlece się na dobre, dlatego wołałam tylko słuchać. Słuchać głosu, za którym wskoczyłabym w ogień. Chciał ze mną zostać. To znów było więcej niż więcej. Wtedy zdałam sobie sprawę, że był przy mnie, bo tego chciał, a nie dlatego, że uważał to za słuszne. I to uczucie, które mnie ogarnęło, gdy to sobie uświadomiłam, było najlepszym, co tamtego dnia mnie spotkało.

— Pewnie mi teraz nie uwierzysz, bo taki nie jestem i nie pokazuję tego, co we mnie siedzi. Chyba nawet nie umiem. Chcę, żebyś wiedziała, że cholernie mocno nie chcę teraz stąd wychodzić. Ale wiem, że powinnaś być z rodziną.

— Boże, ale ja dla ciebie przepadłam.

Po tych słowach, które wypowiedziałam bardzo cicho, przylgnęłam do niego jeszcze mocniej. Nate parsknął, jakby ze smutkiem.

— I tego żałuję najbardziej — szepnął i delikatnie się ode mnie odsunął.

Spojrzałam na niego, kiedy obdarzył mnie słabym uśmiechem. Chwilę później w progu stanął mój brat, który nie prezentował się wcale lepiej ode mnie. Serce nieprzyjemnie mnie zakłuło, kiedy zobaczyłam jego bladą, wymęczoną twarz. Oparł się bokiem o futrynę drzwi, patrząc na mnie pustym wzrokiem. Nie miał na sobie swojej beanie, a jego włosy były potargane. Wtedy skupiłam się jednak wyłącznie na jego brązowo-zielonych oczach, w których zwykle widziałam kpiące iskierki. Teraz były poszarzałe i przekrwione od płaczu, i tak cholernie smutne. To nie był mój Theo.

— Gdzie byłeś? — zapytałam słabo, a gula znów pojawiła się w moim gardle.

Razem z Erikiem opuścił szpital na długo przede mną, a dopiero wrócił do domu.

Theodor wzruszył ramionami, spuszczając wzrok.

— Byłem z Erikiem — wychrypiał zbolalym tonem, na co skinęłam głową.

Domyślałam się, że z Erikiem też było źle.

Jak z nami wszystkimi.

Nate westchnął cicho, a potem odsunął się ode mnie. Spojrzałam na niego z dołu, kiedy wstał z łóżka.

— Pójdę już — mruknął. — W razie potrzeby dzwońcie.

— Dziękuję — wyszeptalam, na co znów obdarował mnie bladym uśmiechem.

Byłam mu tak cholernie wdzięczna.

Ruszył w stronę wyjścia z pokoju, a kiedy mijał mojego brata, poklepał go po ramieniu. Theo posłał mu smętne spojrzenie, a po sekundzie Shey zostawił nas samych. Słyszałam jeszcze, jak schodzi po schodach, a następnie opuszcza budynek. I znów zapanowała cisza.

Nie kryliśmy się ze swoimi uczuciami. Nie minęła chwila, a siedzieliśmy obok siebie, przytuleni, trzęsąc się i płacząc. Płacząc ze strachu przed życiem bez niej. Przed bólem, jaki w nas siedział. Przed stratą, która nas pokonała.

Opłakiwaliśmy Joseline Clark. Opłakiwaliśmy naszą mamę, która bezpowrotnie odeszła.

\*\*\*

Tamtego dnia już nie zasnęłam. Spędziłam dwie długie godziny w ramionach Theo. Nawet się do siebie nie odzywaliśmy. Nie wiedzieliśmy, o czym mamy mówić. Baliśmy się tego, co dalej. Nate miał rację. Po pierwszej fazie szoku i wyparcia pełniej dotarło do nas to, co się stało. I choć nadal próbowałam mieć nadzieję, do mojego umysłu powoli dochodziło, że to wszystko nie było jedynie sennym koszmarem. Ta świadomość odbierała mi rozum.

Dokładnie o wpół do jedenastej wstałam ze swojego łóżka, na którym spał mój brat. Popatrzyłam na niego ze smutnym uśmiechem. Cieszyłam się, że mógł chociaż na chwilę zmrużyć oczy. Zasnął kilkanaście minut wcześniej z wycieńczenia. Mnie się nie udało. Z lekkim rozczuleniem spjrzałam najpierw na jego twarz, a następnie na drzemiącego obok Kota, który dołączył do nas godzinę wcześniej. On jeszcze nie wiedział, że jego pani odeszła. Pociągnęłam nosem i przetarłam opuchnięte oczy, a potem cicho przeszłam w stronę drzwi, aby nie obudzić Theodora. Długo nie spałam i długo nie jadłam, przez co ledwo trzymałam się na nogach. W głowie mi huczało, a mój żołądek się skręcał.

Rozejrzałam się po jasnym korytarzu. Już miałam zejść na dół, gdy mój wzrok padł na drzwi prowadzące do sypialni mamy. Sypialnia mamy... Przytknęłam dłoń do ust i gwałtownie odwróciłam głowę, co przypłaciłam potężną falą bólu, który niemal rozsadził mi czaszkę.

Przełknęłam łyżę, a następnie powoli zeszałam po schodach. Opatuliłam się mocniej czarną bluzą, czując przejmujący chłód.

W salonie zastałam ojca. Trzy pierwsze guziki jego koszuli były rozpięte, a włosy miał potargane. Siedział na kanapie i beznamiętnym wzrokiem wpatrywał się w butelkę drogiego koniaku stojącą na stoliku przed nim. Była w połowie pusta. Z ciężkim sercem patrzyłam na jego poszarzałą, zmęczoną twarz. Nie zorientował się, że jestem w salonie, póki nie stanęłam tuż przed nim.

— Przeprowadziłem twój samochód spod szpitala — mruknął zachrypniętym głosem, zerkając na mnie z dołu.

Nie uśmiechał się i nie powiedział nic więcej. Bez słowa usiadłam na miejscu obok niego, znów czując ból głowy. Spojrzałam na bursztynowy płyn w ozdobnym szkle.

— Mieliliśmy go z mamą wypić w dniu ogłoszenia list przyjętych na waszych uczelniach — szepnął cierpko, a gula w moim gardle jeszcze urosła. — Mieliliśmy świętować albo zapijać smutki — zażartował i parsknął cichym śmiechem, w którym jednak nie było za grosz radości.

Chwycił w dłoń sporych rozmiarów butelkę i zakolysał nią, a brązowozłota ciecz oblała się o ścianki naczynia. Nagle zacisnęła szczękę i ze wściekłą miną zamachnął się, a butelka drogiego trunku przecięła powietrze i z głośnym trzaskiem rozbiła się, uderzywszy w duży kominiek na przeciwległej ścianie. Wzdrygnęłam się, a chwilę później obserwowałam bursztynowy płyn ściekający z drewna i setki odłamków szkła. Tata westchnął głęboko, ukrywając twarz w drżących dłoniach. Zacisnęłam usta w wąską linię, chcąc powstrzymać cisnące mi się do oczu łzy.

Dlaczego to wszystko musiało spotkać nas? Czym zawiniliśmy? Czym zawiniłam, że straciłam mamę? Serce łomotało mi w piersi i nie potrafiłam tego zatrzymać.

— Miała pojechać tylko po zakupy na kolację — wyszeptał nadal z twarzą w dłoniach. — Na dosłownie pół godziny. Tam, gdzie jeździła zawsze. Trzydzieści pierdolonych minut.

To przerażające, że jedna sekunda może zaważyć na życiu człowieka. Niby wszystko było tak jak zawsze. Pojechała do sklepu, do którego jeździła tysiące razy. Chciała zrobić późną kolację, a znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Zabawne, bo wszystko było tak jak zawsze. Nigdy się tego nie spodziewamy. Wychodzimy do szkoły



czy pracy pewni, że wrócimy do domu. Nie mówimy sobie tylu rzeczy. Nie mówimy „kocham cię” do osób, które są dla nas całym światem. Marnujemy czas na bezsensowne kłótnie, bo jesteśmy pewni, że będzie jeszcze okazja, by się przeprosić i wszystko wyjaśnić. Ale może jej już nie być. Możemy nie wrócić do domu, nie zdążyć przeprosić ani odkupić win. W ciągu jednej sekundy może zmienić się wszystko. Możemy stracić kogoś, kto jest wszystkim.

W ciągu jednej sekundy możemy stracić coś, co było z nami przez lata.

— Co dalej? — zapytałam przerażona, zerkając na jego profil. — Co będzie dalej?

— Nie wiem — odrzekł szczerze, a jego głos się załamał. Pociągnął nosem, a następnie skrzyżował ze mną spojrzenie. — Zadzwoń do babci Belli i do reszty rodziny. Poinformowałem ich o wszystkim. Zarezerwowali najbliższy lot. Będą dziś w nocy — powiedział, na co skinęłam głową. — Dzwoniłem też do wujka Garry’ego.

Po jego słowach znów zapanowała cisza. Oboje wpatrywaliśmy się w nieokreślony punkt przed nami. Zaciskałam dłonie na kolanach, wyginając palce we wszystkie strony. Nie miałam pojęcia, co dalej. Nie wiedziałam, co czeka mnie następnego dnia. Za tydzień, za miesiąc. Nie wiedziałam nawet, co spotka mnie w następnej godzinie.

— Trzeba wszystko zorganizować — szepnął. — Poinformować najbliższych. Ludzi w pracy. Zorganizować... zorganizować... — przykmyknęła delikatnie powieki, wzdychając — ...zorganizować pogrzeb.

To słowo wystarczyło, aby w mojej głowie nastąpił jeszcze większy chaos. *Pogrzeb*. To się naprawdę działo. Miałam pochować własną matkę. Patrzyć na nią w trumnie. Zakopać jej martwe ciało. Zamknęłam oczy, opierając łokcie na kolanach i wplatając rozdygotane palce we włosy.

I wtedy znów ją zobaczyłam. Widziałam ją za każdym razem, gdy tylko przykmykałam powieki. Jej piękny, szeroki uśmiech, śliczną twarz, jasne włosy... Słyszałam jej śmiech, czułam ciepło jej ciała.

— Nie poradzę sobie bez niej. Nie chcę żyć bez niej. Ja nie, nie... — zaczęłam drżącym głosem, wyrzucając z siebie kolejne słowa.

Ojciec, widząc moje zdenerwowanie, objął mnie jednym ramieniem i przyciągnął do swojego boku. Cała się trzęsłam, nie potrafiąc się uspokoić.

*Przywróćcie mi ją. Oddajcie mi z powrotem moją mamę.*

— Wiem, że nie zawsze byłem dobrym ojcem — zaczął cicho, opierając policzek o moją głowę i jeszcze mocniej mnie do siebie przytulał. — Zachowałem się egoistycznie, zostawiając was. Nie przyjeżdżałem tu, nie interesowałem się wami wystarczająco. — Westchnął. — Joseline od zawsze jest... była lepszym rodzicem. I nikt nie mógł tego podważyć. Dalej nikt nie może — zrobił krótką przerwę. — Miała sporo swoich zasad, z którymi nie zawsze się zgadzałem. Wy też się nie zgadzaliście... Ale tak naprawdę w życiu kierowała się szczególnie jedną. Tą najważniejszą. Wiesz jaką?

Pokręciłam głową, robiąc powolne, głębokie wdechy. Próbowалам się opanować, uspokoić. Nie wiedziałam, jak sobie poradzić.

— Bliscy byli dla niej najważniejsi. Od zawsze — powiedział. — Nigdy nie przestałem jej kochać. Kochałem ją po wyjeździe, w czasie pobytu w Australii i kocham ją nadal. I będę kochać. — Pociągnął nosem. — Byliście dla niej najważniejsi na świecie. Udowodniła to niejedną raz. Poświęciła dla was tak wiele. Poświęciła wszystko.

— Podczas jednej kłótni powiedziałam jej, że dla mnie umarła — szepnęłam cicho, coraz mocniej zaciskając powieki, a nowa fala łez wylała się na moje policzki. — Wcale tak nie myślałam, ale... ale nigdy jej za to nie przeprosiłam.

— Ona wiedziała, że tak nie myślisz — odrzekł, a moje serce kolejny raz boleśnie się zacisnęło.

— Obiecuj mi coś, tato.

— Co tylko chcesz.

— Obiecuj, że ten, kto jej to zrobił, odpowie za to.

Po tych słowach z zaciśniętą szczęką uniosłam na niego wzrok. Patrzyłam na niego z pełną powagą. Chciałam, aby człowiek, który potrafił moją mamę, cierpieć. Cierpieć tak jak ja. Tak jak my wszyscy. Za to, że zabrał mi najważniejszą osobę w moim życiu. Chciałam, by wył z rozpacz. Pragnęła tego każda komórka mojego ciała. Soczystej zemsty. Jego wycia i błagania o litość.

Mój ojciec patrzył na mnie nieodgadzionym wzrokiem przez kilkadziesiąt dobrych sekund, aż w końcu znów przyciągnął mnie do swojego boku, napinając mięśnie.

— Obiecuję.

\*\*\*

Stojąc dwunastego czerwca dwa tysiące siedemnastego roku na cmentarzu w Culver City, nie liczyłam minut. Szczerze mówiąc, nie liczyłam ich od momentu, kiedy przestałam żyć. Choć może błędnie się wyraziłam. W końcu nadal egzystowałam. Oddychałam, choć z trudem. Poruszałam się pomimo wszechogarniającego bólu rozrywającego mnie od środka. Myślałam mimo niechęci do myślenia. Robiłam wszystko to, co żywy człowiek. Żyłam, choć nie do końca. Coś we mnie umarło wraz z odejściem osoby, która była moim światem. Nie przestało boleć. Nie przestało boleć ani na sekundę od momentu, gdy weszłam do szpitala i ją zobaczyłam. Bolało cały czas. Z każdą minutą coraz mocniej. Cierpienie odbierało mi zmysły. I mimo że na zewnątrz tego nie okazywałam, w środku gniłam. Gniłam jak truchło, którym się stałam.

Tamtego dnia pogoda znów sobie ze mnie kpiła. Nie miałam pojęcia, czego oczekiwałam. Burzy? Deszczu, który płakałby ze mną? Chociaż nie. Nie płakałby ze mną. Płakałby za mnie. Na pogrzeb nie starczyło mi też.

Ale deszczu nie było. Na niesamowicie niebieskim niebie nie widziałam ani jednej chmurki. Słońce świeciło, ogrzewając moją zmęczoną, popielatą twarz. Uniosłam wzrok na ten błękit, mrużąc opuchnięte oczy. Cóż, nie byłam wierząca. Już dawno przestałam wierzyć w tego Kogoś, kto podobno miał nas chronić. Tamtego dnia to się nie zmieniło. Dalej w niego nie wierzyłam, ale gdyby istniał, zrozumiałabym, dlaczego niebo nie mogło płakać. W końcu przyjmowało właśnie jedną z najwspanialszych osób, które kiedykolwiek żyły na tym cholernym łożu padole.

Spuściłam wzrok, pociągając delikatnie nosem. Każdy ruch wymagał ode mnie niebywale dużego wysiłku.

Przełknęłam ślinę, zwilżając suche gardło. Jeszcze mocniej objęłam się ramionami, chyba chcąc odciąć się od wszystkich wokół. Skuliłam się na krześle, na którym siedziałam, i wbiłam wzrok w swoje uda w czarnych jeansach. Coraz mocniej zaciskałam palce na ramionach. Ból mi nie przeszkadzał, wręcz przeciwnie — w dziwny sposób przynosił ulgę. Chyba już się do niego przyzwyczaiłam. Ciężko westchnęłam, nawet nie próbując udawać, że słucham słów księdza. W tamtej chwili marzyłam jedynie, aby to wszystko się już skończyło. Być może byłam nieczuła. W końcu należało oddać szacunek osobie zmarłej, ale... właśnie. *Osobie zmarłej*. Zacisnęłam szczękę, przymykając powieki.

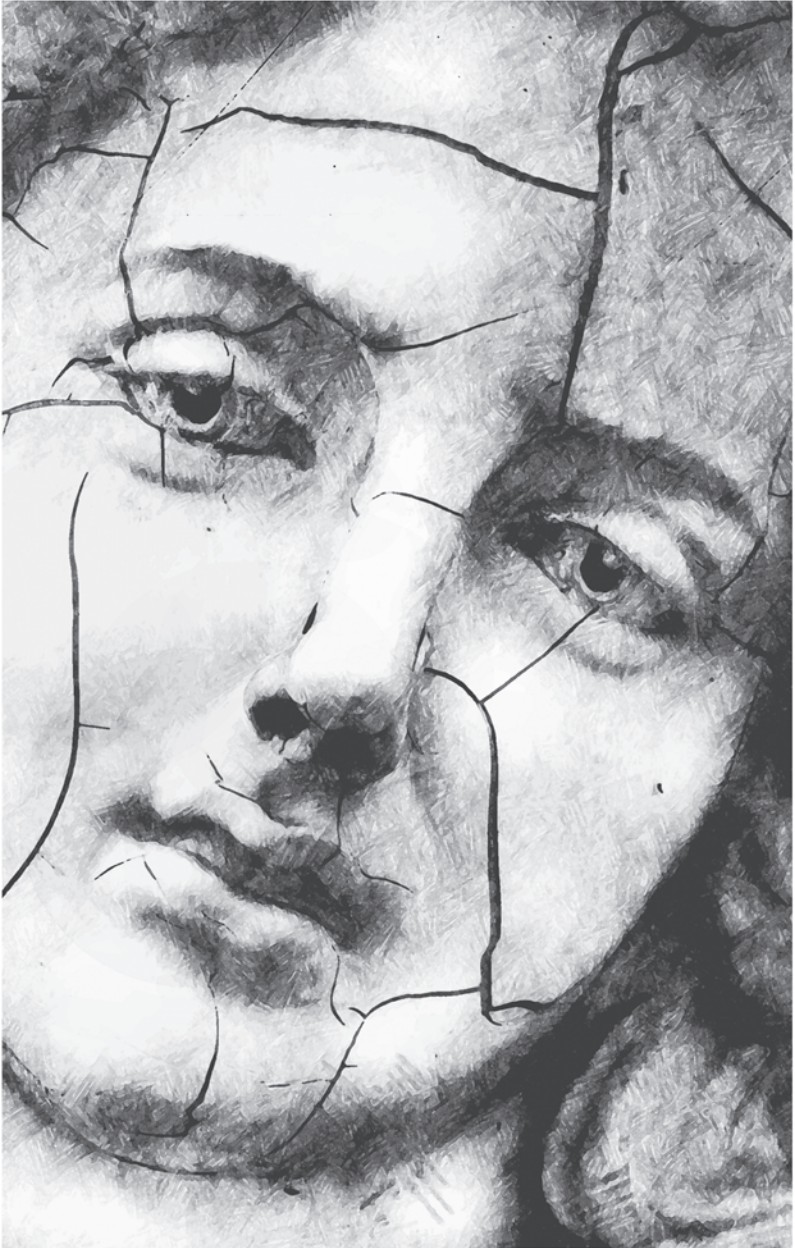
Leniwie przesunęłam wzrok ze swoich nóg na zieloną trawę. Uniosłam obolałą głowę, która wciąż nieprzyjemnie pulsowała.

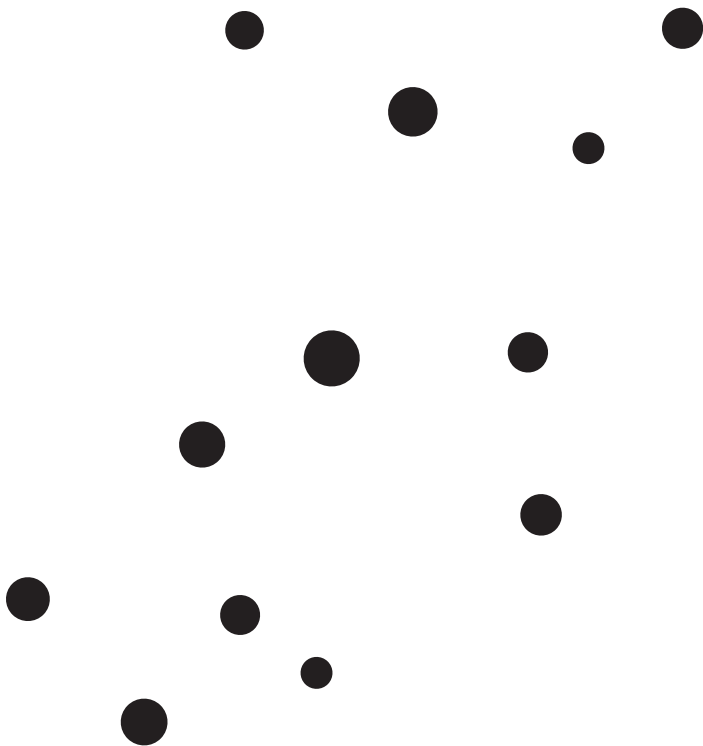
Kilka rzędów wypełnionych po brzegi ławek znajdowało się po mojej prawej. Niektórzy stali. Jedni bliżej, inni spoglądali na tę smutną scenę z pewnej odległości. Nie musiałam przyglądać się dłużej żadnej twarzy, aby dostrzec żal kryjący się w oczach ludzi. Niektórych znałam, innych widziałam pierwszy raz w życiu. Wszyscy milczeli, skupieni i z poważnymi minami. Kilka osób cicho szlochało, dając się ponieść emocjom i wspomnieniom. A ja milczałam, odcinając się zupełnie od wszystkiego i zastanawiając się, czy to ma jeszcze jakiś sens. Delikatny wiaterek owiewał moją twarz, wywołując gęsią skórkę na moim ciele. Dla osób postronnych ten dzień był piękny. Ciepły, słoneczny i rześki. Jednak nie dla nas. Dla nas wszystkich zebranych na tym cholernym cmentarzu był to dzień pożegnania.

— Twoje odejście to nieodżałowana strata dla bliskich, przyjaciół i rodziny, którzy będą cię nosić w swoim sercu i w swej pamięci na zawsze.

W drugim rzędzie, niedaleko mnie, z oczami pełnymi łez siedziała moja przyjaciółka, siostra i osoba, dzięki której jeszcze wstawałam z łóżka. Mia Roberts w pięknej czarnej sukni wpatrywała się w swoją dłoń splecioną z dłonią jej ojca. Obok niej zobaczyłam Chrisa Adamsa z mamą. Nie przypominał tego chłopaka, którego widywałam na korytarzach naszego liceum. Ubrany w idealnie skrojony i pewnie niebotycznie drogi czarny garnitur wyglądał bardzo dobrze, a jednocześnie tak... inaczej. To nie był Christopher Adams w sneakersach z Lacoste i bluzie Gucci, który uśmiechem i dwuznacznymi żartami rozbrajał wszystkich wokół. Jego twarz była poważna, a w jego piwnych oczach widziałam ból, żal i smutek. Nie uśmiechał się i nie poprawiał humoru innym. Tamtego dnia nawet Christopher Adams poległ.

Pomrugałam i nie mogąc się powstrzymać, spojrzałam na jeden z ostatnich rzędów, na które miałam w miarę dobry widok. Scott Hayes wraz z Mattem Donovanem i Cameronem Wilsonem zajmowali jedną z ławek. Wszyscy mieli czarne koszule i marynarki. Obok nich siedziała Jasmine. Byli smutni jak wszyscy wokół. Czerń i smutek, wszędzie tak samo... Współczuli mi? Na pewno. Tamtego dnia współczuł mi każdy i choć na początku miałam ochotę roznieść wszystkich w pył, potem stało mi się to obojętne. Współczucie. Tony współczucia.







# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

Choć to  
dopiero początek,  
jesteś moim  
końcem  
w tej wojnie.  
Wybrany  
i umiłowany.

 editored

 beYA 18+  
beya.pl

ISBN 978-83-289-1082-9  
  
9 788328 910829

cenat 79,00 zł